

# Laurencja Sternowa

---

## List z Holandii

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (42), 191-195

---

1978

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Przechadzki

## List z Holandii

14 stycznia 1978 r.

(...) Można byłoby więc sądzić, że wybrana-przybrana ojczyzna jest krajem nieponętym, a może nawet błędem, jeśli chodzi o egzystencjalne wybory? Mieszkam w nim przez ostatnich siedem lat, lubię generalizować, na ogół mam talent szybkiego i przeważnie poprawnego osądu, a tymczasem reakcje rodowitych mieszkańców tego kraju wprawiają mnie nieodmiennie w stan umysłowego zaburzenia.

Przyjechałam tu po raz pierwszy w 1970, prosto z Danii, po dniu ponurej podróży wzdłuż brudnego Morza Północnego po zmartwiających równinach hanzeatyckich Niemiec. Nagle skończyły się pola, znikły krowy i bez przejścia wjechaliśmy do miasta. Krzyk, samochody, tramwaje, zapachniało po swojsku psimi odchodami i egzotyczną kuchnią indonezyjską. Parę miesięcy później uciekłam z Kopenhagi do Amsterdamu. Urzekły mnie kolory, czarne i białe kamienice nad kanałami, czerwone schodkowe domki solidnych holenderskich mieszkańców, niezwykła zmienność koloru nieba i jakość światła o rzadko spotykanej ostrości. Po siedmiu latach przyzwyczaiłam się do biało-czarnych i czerwonych domków, do świetlistości nieba i opalizującego powietrza — do holenderskich mieszkańców nie nawykłam. Jak tu bowiem przejść z polskiej podupadłej artystokratycznej i ziemiańskiej kultury do przyziemnego, niejako prostackiego i dostownie realistycznego podejścia owych zjadaczy kartofli z kapustą (obraz Van Gogha nie jest w żadnym wypadku upoetycznieniem rzeczywistości, ale rzeczywistością samą)? Powiada się, że przeciwieństwa są dla siebie wzajemnie atrakcyjne, ale to nieprawda. Uogólnienie tego rodzaju trzeba odpowiednio zakwalifikować. Tylko pewne przeciwieństwa są wzajem dla

siebie atrakcyjne, inne różne wywołują reakcje. Polsko-holenderski kontrast nie pociąga, raczej przeraża. Postaram się to wytłumaczyć. Polska była krajem kontrastów społecznych. W Polsce można się było urodzić albo bardzo dobrze, albo bardzo źle. Jak się człowiek urodził dobrze, to tak jakby wygrał automatycznie los na loterii w tym sensie, że miał za sobą stałe i pewne moralne poparcie grupy uprzywilejowanych. Miało się za sobą tradycję rodzinną, tradycję narodową, tradycję męczeństwa i tradycję heroizmu, tradycję gorliwości religijnej i tradycję zapatrzenia się na Zachód i wreszcie ową twórczą i niszczącą tradycję intelektualnej gorączki, spowodowanej obawą, że być może nie zna się czegoś, co znać by należało, co byłoby jeszcze jednym z dowodów tak pożądanej «europejskości». Można się było w Polsce urodzić w tzw. dołach społecznych. Wyrażenie nie fraszka, jako że oddaje autentyczny dramat sytuacji, braku życiowej szansy, tragizm nieodwołalności losu, heroizmem sfrustrowany, brak zainteresowania czymkolwiek przy równoczesnym braku możliwości uczestniczenia w czymkolwiek, wreszcie niczym nie kompensowane poczucie kulturalnej i społecznej niższości. W Holandii takie rozróżnienie nie istnieje. Kraj jest społecznością gloryfikowanych sklepikarzy, nie w przenośni, ale w rzeczywistości. Jak pisał jeden z angielskich lektorów uniwersyteckich wykładających w Holandii: «Coś jest nie w porządku, gdy królowa wsiada z ranka na rower i pedałuje do pobliskiego Supersamu po paczkę mrożonych rybnych kotletów». Coś jest nie w porządku w takim obrazku i dla nas Polaków, jakkolwiek żaden z Holendrów nie dostrzega groteskowości sytuacji. Królowa to nie pozycja społeczna, to zawód. W Holandii nie ma «pozycji» społecznych. W Holandii nie ma «środowisk». Co jest w Holandii, a czego nie ma w Polsce, to proporcjonalny szacunek dla każdego zawodu i dla jego materialnego ekwiwalentu. Jeżeli czasami w towarzyskiej rozmowie, w trakcie wymiany podstawowych informacji na temat, kto co robi, zauważysz iskierkę respektu w oczach rozmówcy, to możesz być pewny, że nie została ona spowodowana nagłym szacunkiem dla twojej inteligencji, kultury, rozeznania, czy też błyskotliwości, ale tym, że twój rozmówca automatycznie przeliczył sobie podaną informację na realne zarobki, odliczył podatek, ubezpieczenie, raty za nowo kupione mieszkanie, itd., porównał z tym, co sam zarabia i uznał, że przedstawiasz «wartość». Nigdy i nigdzie nie spotkałam ludzi, którzy by potrafili liczyć w pamięci z szybkością elektrycznego kalkulatora. Ile jest 19,80 guldenów podzielone przez 11, zapytałam kiedyś studentów chcąc wyliczyć, ile każdy z nas ma zapłacić za kopie tekstów seminaryjnych. Odpowiedź nadeszła równocześnie z pytaniem. Nie należy się dziwić, że Holendrzy nie wynaleźli komputerów, oni ich po prostu nie potrzebują. Co innego, że stosując się do zasady modernizowania i mechanizacji życia i przemysłu w tempie równym do tego, w jakim paten-

tuje się na świecie nowe wynalazki techniczne, Holendrzy «okomputerowali» cały kraj. Pensje przychodzą z centrum komputerowego obliczającego miesięczne zarobki urzędników zatrudnionych przez państwo (trzymiesięczne opóźnienia w wypłacie nie są rzeczą nieznaną). To samo dotyczy podatków, to samo w banku. Rezultat, horrendalne pomyłki. Opowiadał mi ktoś o głośnym przypadku jegomościa, który obudził się pewnego ranka, poczłapał do skrzynki, odebrał pocztę i ku swojemu nieopisanemu zdumieniu odkrył, że nagle na koncie w banku znalazło mu się pół miliona guldenów. I co człowiek zrobił? Porwał za kapelusz, złapał takśówkę, pojechał do banku i z tym samym denerwującym przekonaniem o własnej cnotliwości i racji zameldował pomyłkę. W banku podziękowano mu serdecznie, opisano przypadek w gazecie i wszystko skończyłoby się nadzwyczajnie, gdyby nie drobna uwaga jednego z urzędników: «a wie pan, że gdyby pan nam sam nie powiedział, gdzie szukać tego zagubionego pół miliona, to nigdy by się nam nie udało go odnaleźć». Komputer, no nie? Od tego momentu biedaczyna spędza każdą wolną chwilę z ołówkiem w ręku, obliczając, co by to miał, gdyby był wiedział, że dzięki dokonywaniu wszystkich operacji na komputerze bank nie miał żadnej szansy na odnalezienie tego straconego pół miliona. Morał: zbytek uczciwości też nie popłaca.

Mówiło się o nas krakowianach w Polsce z pogardą «ci centusie», w Holandii uchodzimy za przykład grzesznej rozrzutności. W Holandii pieniędzy się nie wydaje; w Holandii pieniądze się wymienia na towar, możliwie jak najwięcej towaru za jak najmniejszą ilość pieniędzy. Resztę chowa się skrzętnie, odnosząc grosiki do banku z czcią zgoła religijną. Pieniądzy nie przechowuje się na określony cel. Pieniądz w Holandii ma wagę sam w sobie, nie jako środek wymiany. W tym do gruntu pragmatycznym kraju miłość do pieniądza jest jedyną pasją z gruntu bezinteresowną, doznaniem o walorach estetycznych.

Stosunek do pieniądza w Holandii jest jedną z tych rzeczy, które nie poddają się łatwym uogólnieniom. Pół roku temu otwarto w Holandii pierwsze państwowe kasyno — zielone stoliki, ruletka, bakarat itp. Krupierzy specjalnie przeszkoleni w międzynarodowym kodzie graczy i szulerów, odziani w tradycyjne wieczorowe stroje — publiczność w dżinsach i jak kto chce. Wszak ilość utraconego pieniądza nie ma się w żadnej proporcji do obowiązkowego smokingu czy długiej sukni — można się więc bez nich obejść.

Otwarcie domu gry w kraju wzniesionym na kalwińskich cnotach umiarkowania i oszczędności trzeba było jakoś uzasadnić. Holendrzy wierzą święcie w statystyki: a więc odwołano się do wykresów. Jak naocznie udowodniono, w ciągu każdego roku kalendarzowego statystyczny Holender przegrywa około stu guldenów. Proszę więc to sobie obliczyć. «Statystyczny» Holender to niemo-

włę, to sparaliżowany stuletni staruch, to pobożna matka dzieciom we fryzyjskim miasteczku, pomnożony przez trzystaście milionów. Czy ma ktoś pod ręką liczydło, bo ja nie i dlatego nie umiem powiedzieć, ile jest trzystaście milionów pomnożone przez sto, ale tak na oko wydaje mi się, że jest to dużo pieniędzy, nawet w proporcjach budżetu narodowego. Argument był zdumiewająco prosty: jeżeli Holendrzy przepuszczają rocznie tę sumę w różnych prywatnych i nielegalnych kasynach w kraju czy też poza jego granicami (najprawdopodobniej w Knokke, belgijskim domu gry niedaleko Ostendy, Holendrzy daleko nie jeżdżą, bo to za dużo kosztuje, benzyna jest droga a pieniądze oszczędzać należy i nie wydawać ich bez dobrej po temu przyczyny), to czy nie lepiej jest dostarczyć rodakom tej pożądanej rozrywki w kraju i tym samym wyrzucione pieniądze wprowadzić z powrotem do narodowej kieszki? Nie ma zaiste niczego zabawniejszego niż obserwowanie, jak pryncypia kalwińskie rozplywają się w powietrzu w obliczu rozsądnie udokumentowanego argumentu ekonomicznego. Tak więc przy jednomyślnym poparciu i błogosławieństwie ze strony małomiasteczkowych ugrupowań religijnych (a jest ich w Holandii ponad sto pięćdziesiąt) socjalistyczny rząd zabrał się żwawo do wzniesienia instytucji, której jedynym celem jest ulegalizowane i dobrowolne obdzieranie obywateli z nadmiarów pieniężnych. Wydaje mi się, że zinstytucjonalizowanie domów gry (tak jak plan zinstytucjonalizowania rozpusty w Rotterdamie — zbudowanie centrum prostytutki na użytek cudzoziemców) przy jednomyślniej zgodzie obywateli jest symptomatyczne dla pewnej holenderskiej cechy narodowej — a mianowicie srogiego poczucia równości. Jeżeli zarabiasz miesięcznie dwa tysiące guldenów na czysto, to spodziewasz się, że wszyscy naokoło ciebie powinni zarabiać mniej więcej to samo. Jeżeli przypadkiem dowiesz się, że twój sąsiad zarabia dosłownie dziesięć razy tyle, to czujesz się osobiście urażony i w pewnej mierze masz poczucie, że — w celu zachowania symetrii stosunków sąsiedzkich — część jego pieniędzy powinna w istocie przypaść tobie. Ponieważ oczywista kradzież, oczywiście oszustwo są surowo zabronione w purytańskim kodzie moralnym — piekło jest w Holandii znacznie żywszym wyobrażeniem niż niebo — wobec tego pomysł wzniesienia kasyna gry, w którym twój asocjalny sąsiad ma szansę utracenia nadmiaru bogactwa na rzecz państwa, bardzo ci w rzeczy samej odpowiada. Bowiem jeżeli nawet nie będziesz miał żadnych doraźnych korzyści materialnych z tej imprezy, to pozostanie ci satysfakcja moralna — rzecz na pewno nie do pogardzenia. Splukany sąsiad staje z tobą na równi, chociaż w rzeczywistości masz w stosunku do niego poczucie wyższości. Nareszcie możesz mu współczuć, teraz nareszcie możesz wprowadzić w pole chrześcijańskie wartości Dobrego Samarytani — a święcie wierzysz, że je posiadasz, choć ja chciałabym raz

*w życiu zobaczyć samarytańskie cnoty w akcji w stosunku do osoby, co do której masz poczucie niższości — i w efekcie masz rzadką okazję odnowy nieco zachwianego poczucia własnej wartości i przekonania o Cnocie Wynagrodzonej. Prymitywne rozumowanie? Ależ tak! Czy widziałeś kiedy udany kod moralny, który by nie był jednocześnie zdumiewająco prymitywny?*

*Laurencja Sternowa*